

Fatum naszych dziadków

AUTOR: JACEK CIEŚLAK

Jacek Braciak, laureat nagrody „Teatru” za kreację aktorską sezonu 2019/2020 we *Wstydzie*, zadebiutował jako reżyser kolejnej sztuki Marka Modzelewskiego – *Kto chce być Żydem?* Nie rezygnując z komedii bliskiej farsie, zagęścił ją w stylu Ibsena.

■ Kiedy ceniony aktor ogłosił, że nie jest zadowolony z prapremiery sztuki Marka Modzelewskiego w Teatrze Współczesnym w Warszawie w reżyserii Wojciecha Malajkata, gdy mówił, że inaczej wyobraża sobie inscenizację i w związku z tym zdecydował się na debiut reżyserski – pewnie niejedna osoba w środowisku mogła pomyśleć, że przed klęską kroczy pycha. Jeśli tak było, pomyłono ją ze szczerością, opartą na co najmniej znakomitym rzemiośle, które sprawiło, że już wcześniej sugerowano Braciakowi-aktorowi przejście na drugą stronę sceny.

Braciak-reżyser – definiujący się jako zwolennik teatru środka wiernego dobrze skrojonym tekstom, z wyrazistymi, bliskimi życia postaciami – w twórczości Modzelewskiego znalazł idealny materiał. Trzeba dodać, że dramaturg to dziś najczęściej wystawiany polski autor teatralny: w kraju granicy jest dziesięć spektakli według jego sztuk, doczekał się książkowej antologii oraz filmu *Teściowie*, który obejrzało pół miliona widzów. Modzelewski czuje pewnie powód do zadowolenia, a nawet dumy, że Braciak widzi w nim kontynuatora najlepszych tradycji Zapolskiej i Bałuckiego. Jednak inscenizacja w Teatrze Powszechnym w Łodzi, wychodząc od komedii, idąc przez tragifarsę, podąża zdecydowanie dalej i głębiej: do gorzkiej refleksji, jaką znamy ze społecznych dramatów Ibsena – autora wikłającego swoich bohaterów w sytuacje naznaczone współczesnym fatum.

Publiczność kameralnej sali Powszechnego zasiada naprzeciw salonu, który w ujęciu scenografa Witka Stefaniaka (kostiumy przygotowała w podobnym tonie Ewa Helman-Szczerbic) wygląda znajomo. W taki sposób urządzone jest pewnie większość mieszkań i domów dzisiejszych pięćdziesięciolatków w Polsce. Dominuje wszechobecny eklektyzm, z książkowym regałem, gdzie wygosparowano też miejsce na gramofon. Domowa przestrzeń dzieli się na część stołową – po lewej stronie, i tak zwany *living room* z fotelami oraz ławą – po prawej. Patrząc na stół, widzimy także drewnianą ramę okna. Nie daje ona widoku na podwórze, co pozwala wziąć teatralny realizm w cudzysłów „domu lalki”. Braciak, inscenizując sztukę *Kto chce być Żydem?*, nie pójdzie jednak emancypacyjnym tropem Ibsena. Modzelewski znany jest przecież z rozwiązań dramaturgicznych, które pokazują, że polityczna poprawność to tylko dekoracja i fasada, a za postępowymi, liberalnymi poglądami mogą kryć się co najmniej niejednoznaczne moralnie sytuacje. Im dłużej obserwujemy postaci sprawiające

wrażenie nakreślonych farsowo, tym mocniej ugruntowuje się w nas przekonanie, że niezobowiązująco urządzony salon Elizy nie będzie ostatecznie miejscem społecznej bajki z happy endem. Ważnym rekwizytem okaże się żydowski świecznik. To wokół niego rozegra się dramat rozpoznania losu Elizy (Beata Ziejka).

Świeżo mianowana profesorka estetyki przygotowuje się z mężem Karolem (Marek Kasprzyk), prowadzącym klinikę chirurgii plastycznej, do uroczystej, rodzinnej kolacji. Jak się okaże, profesje bohaterów mają swoje zarówno społeczne, jak i metaforyczne znaczenia. Mówiąc wprost: ktoś tu coś upiększa, a z tej próby może wyjść jakiś potworek. Reżyser zaś zadbał o to, by podkreślić, że pokazywana inteligencja i klasa średnia pochodzi z awansu – jest mocno niepewna swojego statusu. Bohaterowie demonstrują własne aspiracje, ale brakuje im obycia – zastanawiają się, jakie serwować alkohole: włoskie wino czy kosztowną wódkę?

Pochodzenie tej rodziny dookreśla Marek, brat-swojak Elizy, grany przez Arkadiu-

Modzelewski znany jest z rozwiązań dramaturgicznych, które pokazują, że polityczna poprawność to tylko dekoracja i fasada, a za postępowymi, liberalnymi poglądami mogą kryć się co najmniej niejednoznaczne moralnie sytuacje.



fot. Maciej Zahrzewski / Teatr Powszechny w Łodzi

sza Wójcika. Aktor wyposażył swoją postać w brzuszek czterdziestolatka, niestroniącego od wódeczki i rozkoszy stołu. Ma powody do zdenerwowania: właśnie się rozwodzi. Odwiedził siostrę z miłą, szczerą, jednak pozbawioną edukacji dziewczęcą kopia Dody (Diana Krupa). Im bardziej Eliza, nie bez pretensjonalności, podkreśla i celebrytuje swoje duchowe i intelektualne ambicje – tym bardziej brat je kontruje. Jest tyle bezpośredni, co chwilami chamowaty. Reagując na postawę siostry prowokacyjnymi uwagami, nie unika wycieczek pod adresem Żydów, zastrzegając jednocześnie, że nie jest antysemitą.

W powietrzu czuć napięcie i niepewność gospodarzy, ponieważ głównymi gośćmi wieczoru będą przyjeżdżająca z Ameryki córka Elizy i Karola – Karolina (Monika Kępka) i jej narzeczony. Przed laty Karolina uciekła sprzed ołtarza, co wciąż stanowi problem dla rodziców, teraz jednak są widoki na spełnienie marzeń mamy i taty o stałym związku. Narzeczony to nowojorski Żyd Daniel (Adam Marjański), co staje się powodem niejednoznacznych komentarzy Marka. Dodatkowo, farsowy kontrast między gośćmi wieczoru stanowi na przykład to, że o ile Karolina pracuje w nowojorskiej galerii MoMA i zajmuje się sztuką, o tyle Marek swoją nową dziewczynę poznał na gali... MMA. Jakby różnic między bohaterami, tworzących swoiste pole minowe podczas rozmów, nie było dość – Eliza ogłasza, że jej fascynacja kulturą żydowską sprawiła, że przejdzie na judaizm. W rodzinnym piekle wywołuje to groteskowe reakcje wzmożonego, a przecież wcześniej niedeklarowanego katolicyzmu. Karol, który nigdy nie był nazbyt religijny i swoje zainteresowania wiarą ograniczał

do świąt Bożego Narodzenia, gdy jego żona akcentuje znaczenie żydowskiego świecznika, stawiając go w oknie – wybiega z salonu, by powrócić z ikoną Matki Boskiej Częstochowskiej. Nie wiadomo: śmiać się czy płakać.

Wart rozwinięcia jest temat społecznego awansu, realizowany poprzez postać Elizy. Dla Jacka Braciaka mogło to być podwójnie ciekawe, ponieważ podobna była kondycja jego bohatera ze *Wstydu*. To ten rodzaj osób, które z jednej strony deklarują otwartość i liberalne poglądy, z drugiej zaś w chwili zaskakującej próby – brak im dystansu do rzeczywistości. Podkreślając prawo do własnego wyboru, okazują się nietolerancyjnymi neofitami. Eliza marzy o życiu osadzonym w jednej z najstarszych kultur świata, nie wie jednak, jakie tajemnice kryje rodzinna przeszłość i jakiej przeszłości przyjdzie jej bronić.

Bohaterem Elizy jest dziadek nauczyciel. Jako pierwszy w rodzinie był człowiekiem odczytanym, stawiającym na edukację. To jego przykład stał się inspiracją dla kobiety. Pnąc się jednak po szczeblach awansu, widząc siebie w nowej roli, Eliza nie dostrzega bliskich: męża, może mimowolnie, ale jednak lekceważy. O wszystkim dowiaduje się on ostatni. Nie wiele wskazuje, by żona traktowała go po partnersku. Karol aprobejuje kolejne pomysły Elizy, w czym widać wciąż żywe przejawy dawnej fascynacji ukochaną kobietą. Najpierw irytuje się jej samodzielnością, a potem zgadza na wszystko, bo ona i tak pójdzie nową drogą.

Do czasu. Konfrontacja Elizy z przeszłością – w czym pomaga wizyta Daniela, żydowskiego narzeczonego córki, i jego opowieść o udziale rodziny profesorki w pogromach na Podlasiu – sprawia, że jej plan inte-

ligenckiej emancypacji załamuje się. Ona zaś zamiast stanąć po stronie ofiar, wybiera źle pojętą rodzinną solidarność, opartą na wyparciu win. Można powiedzieć, że Modzelewski stworzył historię mniej jednoznaczną, jeśli chodzi o rozłożenie akcentów, niż *Wesele 2* Wojciecha Smarzowskiego, ale tym bardziej pesymistyczną: świeżo upieczona filosemitka broni dziadka antysemitę, uczestnika pogromów. Autor akcentuje konformizm ludzkich postaw, przekonując, że najczęściej w ostateczności robimy to, co dla nas wygodniejsze. Kolacja, która miała być świętem i ukoronowaniem marzeń, zmienia się w upiorną awanturę: wychodzą na jaw inne brudy i napięcia. Nagle oznajmiona ciąża nie jest mile widziana w katolickiej rodzinie, wywołuje temat aborcji, zaś w innej rodzinnej konstelacji seks mógł być grzeszny nie tylko dlatego, że przedmałżeński, lecz także dlatego, że kazirodzy.

Znakomitość reżyserii Braciaka polega na tym, że nie dopowiada wszystkich znaczeń, dając nam szansę na domysły i refleksję. Oszczędnie gospodaruje tekstem, wskazując, że każde słowo i rekwizyt mają na scenie swoje uzasadnienie. Jeśli na kanapie leży koc, to zaraz może zostać wykorzystany parodystycznie i antysemitcko jako element żydowskiej garderoby i rytuałów.

Świetnie grają aktorzy: nie bronią swoich postaci, tylko czynią z nich ludzi pełnych niekonsekwencji, bo tacy jesteśmy. Jednych lubimy, innych krytykujemy, co, jak pokazuje finał, wymaga bezkompromisowości również wobec siebie. Życie bowiem tak zaskakuje, że nie wiadomo kiedy możemy znaleźć się w sytuacji tych, których jeszcze niedawno potępialiśmy. Co wtedy? ■